

MARYA KONOPNICKA

NASZA SZKAPA

**\* A Distributed Proofreaders Canada eBook \***

This ebook is made available at no cost and with very few restrictions. These restrictions apply only if (1) you make a change in the ebook (other than alteration for different display devices), or (2) you are making commercial use of the ebook. If either of these conditions applies, please contact a FP administrator before proceeding.

This work is in the Canadian public domain, but may be under copyright in some countries. If you live outside Canada, check your country's copyright laws. IF THE BOOK IS UNDER COPYRIGHT IN YOUR COUNTRY, DO NOT DOWNLOAD OR REDISTRIBUTE THIS FILE.

*Title:* Nasza szkapa

*Date of first publication:* 1907

*Author:* Maria Konopnicka

*Date first posted:* Aug. 30, 2016

*Date last updated:* Aug. 30, 2016

Faded Page eBook #20160820

This ebook was produced by: Cindy Beyer & the online Distributed Proofreaders Canada team at <http://www.pgdpCanada.net>

BIBLIOTECZKA UNIWERSYTETÓW LUDOWYCH 3.

---

**MARYA KONOPNICKA**

—

**NASZA SZKAPA**



WARSZAWA  
NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA  
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA  
1907

---

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

---

Zaczęło się to od starego łózka, cośmy na niem we trzech sypiali.

Tego dnia ojciec zły czegoś z rzeki wrócił i, siadłszy na ławie, ręką głowę potarł. Pytała się matka raz i drugi, co mu, ale dopiero za trzecim razem odpowiedział, że się ta robota koło żwiru skończyła, i że szkapa tylko piasek wozić będzie. Zaraz mnie Felek szturchnął w bok, a matka jęknęła z cicha.

Miał ojciec nad wieczorem po doktora iść, ale mu jakoś niesporo było. Chodził, medytował, po kątach pozierał, aż stanął przed matką i rzekł:

— Co chłopakom po łózku, Anulka? Sypiam ja na ziemi, toż i oni mogą.

Spojrzelśmy po sobie. Dwie złote iskry zabłyśły w siwych oczach Felka. Prawda! Co nam po łózku? Piotrusia tylko pilnować trzeba, żeby z niego nie spadł.

— Dalej! jazda! — krzyknął Felek, i, zanim odpowiedzieć zdążyła, jużemy we trzech siennik na ziemię ściągnęli, a Felek kozły wywracać na nim zaczął.

Po ściągnięciu wszakże siennika okazało się, że desek w łózku brakuje dwóch, a bok jeden ze wszystkim odłazi. Nie chciał tedy »handek«, którego mi ojciec zawołać kazał, o łózku ani gadać, pieniądze, naliczone miedzakami, zgarnął w mieszek, związał i za chałat na piersi zasunął. Opuścił mu ojciec dziesiątkę, potem dwie, potem złotówkę całą, ale się Żydzisko uparło. Z sieni dopiero brodę do izby wsadził, postępując pół rubla bez siedmiu groszy, jeśli mu ojciec i poduszkę sprzeda.

Zawahał się ojciec, spojrzął na nas, spojrzął na matkę; wszystkiego razem miało być jedenaście złotych.

— Cóż chłopaki? — zapytał wreszcie — obejdziecie się bez poduszki tymczasem, póki matka chora?

— O jej! — wrzasnął Felek przyduszonym głosem, gdyż właśnie na głowie stał, a nie zmieniając pozycji, poduszkę na izbę cisnął. Chwycił ją Piotruś i na Felka rzucił. Felek znów na mnie, aż nam ją »handek« z rąk wyrwał, żebyśmy nie poszarpali.

— Ale bez poszewki! — odezwała się słabym głosem matka.

Natychmiast wyrwaliśmy »handlowi« poduszkę, którą już pod pachą trzymał, i zaczęliśmy z niej poszewkę ściągać.

Po ściągnięciu wszakże poszewki okazało się, że poduszka w jednym rogu rozpruta, i że się z niej pierze sypie. Znów tedy »handek« jedenastu złotych dać nie chciał, tylko dziesięć bez piętnastu groszy.

Targ w targ, zgodził się z ojcem na całe dwa ruble, żeby mu jeszcze kołdrę naszą dodać.

Ojciec spojrzął na matkę. Była tak osłabioną i bladą, że wyglądała, jak martwa,

leżąc na wznak, z głęboko zapadłymi oczami.

— Anulka?... — szepnął ojciec pytająco.

Ale matkę chwycił kaszel, więc odpowiedzieć nie mogła.

— My tam koldry, proszę ojca, nie chcemy! — krzyknął Felek. — My się tylko o tę koldrę co noc bić musimy. Niech Wicek powie!...

— Prawda, proszę ojca! — potwierdziłem gorliwie. — Co noc się bić musimy, bo spada...

»Handek« już koldrę zwinął i pod pachę wsadził. Wybiegliśmy za nim z tryumfem w podwórko.

— Wiecie? — krzyknął Felek chłopakom, co tam w klipę grali — »handek« kupił nasze łóżko, koldrę i poduszkę! Będziemy teraz na ziemi na sienniku spali!...

— Wielka parada! — odkrzyknął błady Józiek od krawca z lewej oficyny. — Ja już dwa lata u majstra na ziemi sypiam bez siennika nawet.

Zaimponował nam. Sypianie takie nie było więc już, widać, wynalazkiem naszym.

Tego dnia był u nas doktor, a ja biegałem aż dwa razy do apteki, bo matce znów było gorzej; ale kiedy przyszedł wieczór, tośmy ledwie ziemniaki dojeść mogli, tak nam pilno było na siennik, któryśmy sobie ułożyli w kąciku za piecem. Felek to nawet z chlebem w ręku do pacierza klęknął i, oglądając się raz wraz na siennik, w trzy migi »Ojczy nasz« i »Zdrowaś« przeszeptał, tak, żem ja ofiarowania nie zaczęła, a on już się w piersi bił, aż dudniało w izbie, i, tylko katankę zrzuciwszy, zaraz się od pieca położył. Co prawda, to i ja miałem myśl, żeby się od pieca położyć; ale mi się z Felkiem zaczynać nie chciało, więc go palnąłem w ucho i położyłem się od ściany, a Piotrusia tośmy między siebie wzięli. Zrazu zdawało mi się, że mi głowa gdzieś z karku ucieka, bom do poduszki nawykł, ale potem podłożyłem sobie łokieć i dobrze.

— Czemże ja was, robaki, odzieję? — rzekł ojciec, patrząc, jakeśmy się jeden do drugiego tulili.

Obejrzał się po izbie, zdjął z kołka swój granatowy płaszcz, i rzucił go na nas.

Wrzasnęliśmy z uciechy i natychmiast powsadzaliśmy ręce w rękawy. Piotruś tylko piszczał, nie mogąc do nich trafić, aleśmy go z głową peleryną nakryli, więc ucichł. Ojciec, nim się położył, raz jeszcze podszedł do nas.

— No i cóż? ciepło wam, baki? — zapytał.

— Mnie tam ciepło, — odpowiedziałem z głębi płaszcza.

— A mnie jak! — krzyknął Felek. — O, proszę ojca, jak mi to gorąco.

I wystawił swoje długie, chude nogi, żeby, okazać, jako o przykrycie nie dba.

Istotnie, przyjemne ciepło szło na nas z pieca, bo ojciec koksu przed wieczorem

przyniósł, ogień rozpałił i matce herbatę gotował. Usnęliśmy też zaraz. Ale nad ranem zrobiło się nagle bardzo chłodno. Pociągnąłem tedy płaszcz w swoją stronę. Felek zrazu skurczył się przez sen, ale potem i on płaszcz ciągnąć zaczął; a gdym nie puszczał, bo juścić od pieca cieplej jemu, niżeli mnie było, sam się głębiej pod niego wsunąć usiłował.

Przy tem wsuwaniu się musiał jakoś nacisnąć Piotrusia, bo malec nagle piszczeć zaczął, a potem się na dobre rozbeczał.

Matka stęknęła z cicha raz i drugi.

— Filipie! Filipie! — rzekła słabym głosem — a zajrzyjno do chłopców, bo Piotruś czegoś płacze...

Ale ojciec spał.

— Chłopcy! — odezwała się znowu matka — a czego tam Piotruś płacze?

— To Felek, proszę mamy! — odrzekłem.

— Nieprawda, proszę mamy, to Wicek! — zaprzeczył natychmiast zaspanym głosem.

Matka ciszej jeszcze stęknęła, a gdy nie przestawał płakać, zwlokła się z łóżka, wzięła Piotrusia na ręce i zaniósła go na swoją pościel. Zaraz też nam się placu więcej zrobiło, więc mi Felek dał sójkę w bok, ja mu też, i, odwróciwszy się od siebie, spaliśmy wybornie do samego rana.

W parę dni potem znowu przyszedł »handek«. Nikt go nie wołał, ale przyszedł tak, z grzeczności, jak mówił, dowiedzieć się, czy matka zdrowsza. Zaraz też zaczął chodzić po izbie, oglądać szafę, stołki. Ale ojciec pochmurny był czegoś i gadać wiele z nim nie chciał.

Nazajutrz »handek« znowu przyszedł. Tego dnia mieliśmy na obiad ziemniaki z solą tylko, bo okrasy brakło; chleb też się jakoś skończył, a Piotruś do ochrony bez śniadania poszedł. Mnie ojciec kazał worek na węgle szykować. Szturchnął mnie Felek w bok, że to niby ciepło będziemy mieli, bo wiatr strasznie po izbie świstał, i zaraz my się rozśmiali. Stałem już chwilę, ale ojciec zapomniał widać o węglach, bo, siedząc na matczynem łóżku, zadumał się i wąsy skubał. Chrząknąłem raz, nie spojrział nawet w moją stronę; chrząknąłem drugi raz, spojrział, jakby mnie nie widział, a na to właśnie »handel« wszedł i szafę targować zaczął.

Przestępując z nogi na nogę, czekałem jeszcze chwilę, ale mi okrutnie pilnie było, bo woda koło pompy zamarzła i Felek poleciał jeździć; zaryzykowałem tedy i chrząknąłem raz trzeci. Jak się też ojciec nie obróci, jak nie palnie pięścią w stół! Skoczyłem duchem do sieni, o małym przez próg nie padł, a »handek« też wyszedł nie bawiąc, i na Żydka z przeciwka palcem kiwać zaczął. Ojciec mnie tymczasem zawołał, choć mu się jeszcze ręce trzęsły czegoś, szesnaście groszy odliczył i po

węgle biedz kazał.

Kiedym wrócił, »handek« i Żydek z przeciwka wynosili szafę. Ojciec ode drzwi zastąpił, żeby dużo mrozu nie naszło, matka odwróciła głowę do ściany i stękała z cicha.

Usunięcie szafy z kąta, gdzie stała, jak tylko zapamiętać mogę, odkryło nam nowe widoki; przykucnęliśmy tedy wśród nagromadzonych tam śmieci i rozpoczęły się poszukiwania. Felek znalazł guzik blaszany, który sobie zaraz na rękawie przyszył, a ja wygrzebałem patykiem ze szpary dużą, zardzewiałą igłę, oraz bożą krówkę z podkurczonemi pod siebie nóżkami i wyszczerbionem skrzydełkiem. Natychmiast zaczęliśmy na nią dmuchać, ale była zdechła.

Za każdym z tych odkryć wykrzykiwaliśmy radośnie, a ojciec nie mógł nas napędzić do kaszy, którą nam zgotował na obiad, i której tylko matka jeść nie chciała. Przetrzęsaliśmy nareszcie wszystko, a przekonawszy się, że już żadnych więcej skarbów w kącie niema, wymietliśmy resztę śmieci do sionki.

Teraz dopiero spostrzegłem, że w miejscu, gdzie stała szafa, kawał ściany bielszy się wydawał, nizeli reszta izby; udzieliłem tej wiadomości Felkowi, a że i matka w kąten patrzyła smutnym wzrokiem, wstał tedy ojciec od kaszy, wyszukał w skrzynce dwa gwoździe i, w ów jaśniejszy kawał ściany wbiwszy, powiesił na nich matczyną suknię brązową od święta i tę drugą modrą codzienną, chustką je pięknie okrył i z boków obcisnął. Wyglądało to bardzo dobrze, a Felek z Piotrusiem zaraz się w »chowanego« bawić tam zaczęli.

Matce w tych czasach pogorszyło się jakoś; doktor jej kazał dobry rosół i świeże mięso jeść, a choć płakała na taką stratę i, jak mogła, ojcu bronila, to jednak coś przez tydzień do rzeźnika codzień latałem, kupując czasem i całe pół funta.

A »handek« to już tak do nas przywykł, że, czy go kto wołał, czy nie wołał, codzień choć przez drzwi zajrzał. Już nawet Hultaj, pies stróża, nie szczekał na niego. Po szafie kupił od nas »handek« cztery na orzech bejcowane krzesła, cośmy na nich do obiadu siadali. Przy tych krzesłach tośmy mieli uciechę, bo »handek« nie mógł więcej wziąć sam, jak dwa, a drugie dwa samiśmy nieśli aż na Ordynackie.

Na głowach my z niemi paradowali samym środkiem ulicy, a Felek tak wrzeszczał: »na bok! na bok!« że aż dorożki stawały. »Handla« zostawiliśmy za sobą het precz, choć Żydzisko pędziło za nami, krzycząc, żeśmy rozbójniki, szwarcjury i inne tam takie żydowskie wymysły. Dopieroż na Ordynackiem dalej bębnić w stołki. Pozlatywali się ludzie, myśleli, że to »sztuki«, aż przecie nas »handek« dopadł i, chwyciwszy się za brodę na owo zbiegowisko przy stołkach, trzygrosznik nam dał, żebyśmy sobie poszli.

Tak nam ta wyprawa zasmakowała, żeśmy się tylko pytali, co trzeba wynosić.



Szczególniej Felek coraz miał nowe pomysły. Jak tylko wrócił z ochrony, zaraz ręce na plecy zakładał, po izbie chodził i po kątach, jak taksator, patrzył.

— A możeby, proszę ojca, garnek żelazny? A możeby balie, albo zegar?

— Poszedł precz! — fuknął na niego ojciec, który teraz prawie ciągle był czegoś zły i smutny.

— Felek! Co ty gadasz? — odezwała się słabym głosem matka. — A toćbyś ty niedługo duszę w ciele sprzedał?

Ja i Piotruś zaczęliśmy także silnie protestować.

— Ale!... Garnek!... Jeszcze czego!... A w czym to będziemy gotowali kaszę, albo i ziemniaki?

— Albo zegar!... — dodał z oburzeniem Piotruś. — A jakże będziesz bez zegara wiedział, kiedy ci się jeść chce, albo spać?...

— O jej!... — wołał Felek z miną skończonego libertyna — żeby o co, jak o to!... A ty, czy zegar pokazuje, czy nie pokazuje, to tyłkobyś ciągle jadł.

— A ty sklepikarce po bulki latasz, żeby ci »kadryła« dała.

— Nie latam! — odparł, zaczerwieniwszy się, Felek.

— Latasz!

— Nie latam!

— Owszem, latasz! Sam widziałem, jakeś »kadryła« jadł...

— Ja »kadryła«?... Jak Boga kocham, tak nie jadłem!...

Tu uderzył się pięścią w piersi, aż echo jęknęło.

— No to chuchnij!...

Nastawił się Felek i chuchnął, aż para poszła. Z próby tej wyszedł z tryumfem. Nic nie zdradzało spożycia »kadryła«, a z głębi zapadłej brzuszyny dobyła się tylko czezość wielka.

Wszakże przegłosowany Felek nie tracił miny. Pewnego dnia, obchodząc izbę i poglądając po ścianach, wykrzyknął nagle.

— A rondel, proszę ojca! A moździerz! A żelazko!...

Struchleliśmy, słuchając. Rondel, moździerz i żelazko — to były niemal klejnoty rodzinne. Na półce wprost drzwi ustawione, błyszczały ośniewające, złote prawie. Środkowe miejsce zajmował rondel. Jak zapamiętać mogę, nigdy nie widział, żeby się w tym rondlu co gotowało. Byłoby to profanacją poprostu. Co sobotę wszakże czyściła go matka cegłą lub popiołem, i tak świecący stał z wystawionem na izbę uchem, błyskając w same oczy, gdy się do stancyi wchodziło. Przy nim stał moździerz z tłuczkiem z jednej strony, a żelazko z drugiej. Moździerz był rówieśnikiem moim. Kupił go ojciec, gdy na świat przyszedł, aby matkę uradować i dobre jej serce za syna okazać. Żadnego wszakże z jednołatków moich w

podwórzu, ba, na całej ulicy, nie szanowałem tak, jak szanowałem ten mózdzierz. Matka zdejmowała go raz do roku tylko, w Wielki Piątek, aby tłuc cynamon do wielkanocnego placka. Wtedy to zwykle powtarzało się to opowiadanie, w którym ja i mózdzierz byliśmy bohaterami. Właściwie różnił się tylko, że mnie przyniósł bocian za darmo, a za mózdzierz trzeba było zapłacić. Nic więc dziwnego, że istnienie tego mózdzierza uważałem jako ważniejsze, aniżeli moje własne, zwłaszcza patrząc na poszanowanie, jakiego stale używał, podczas gdy ze mną różnie bywało i wówczas i potem...

Żelazko także nader rzadko zstępowało z wyżyn półki na poziom naszego codziennego życia. Matka prasowała nim tylko półkoszulki niedzielne ojca i swoje tiulowe czepki; reszta bielizny szła pod magłownicę. Raz nawet o to żelazko pogniewała się matka ze stróżką, która je od nas pożyczyć chciała.

— Moja pani! — powiedziała jej matka bardzo stanowczym głosem. — Taki »porządek« to nie na pożyczki, nie na ludzkie ręce!... To kosztuje!... To raz na całe życie sprawunek!...

Wszyscyśmy przecie pamiętali, jak na to stróżka drzwiami trzasnęła, jak w sieni język rozpuściła, a jak się matce z gniewu i z oburzenia ręce trzęsły, kiedy nam w chwilę potem chleb na śniadanie krajała. Od tej też chwili żelazko niezmiernie poszło w górę w moim rozumowaniu. Zaliczyłem je nawet w myśli do tych rzeczy, które są raz na całe życie, jak chrzest naprzykład, bierzmowanie i granatowy płaszcz, o którym ojciec też mówił, że jest raz na całe życie. A teraz patrzcież państwo, Felek tak o żelazku mówił, jakby to była warząchew, albo stara miotła.

Spojrzałem na ojca; byłem pewny, że się Felkowi po uszach oberwie. Ale ojciec oczy w ziemię wbił, skubał wąsy. Dobrze jeszcze, że matka spała na tę chwilę.

Tego dnia nie latałem po mięso dla matki. Kości mi tylko ojciec za trojaka kupić dał i krupnik z nich uwarzył.

Nazajutrz przyszedł zziębnięty i, zacierając skostniałe ręce, od proga zawołał:

— Ciesz się, Anulku! Wisła tylko patrzeć jak puści, bo się wiatr na zachód obrócił.

A matka, spojrzawszy na ojca, klasnęła w ręce i aż na pościeli siadła.

— Filip! — krzyknęła — a kożuch?

Teraz dopiero zobaczyłem, że ojciec bez kożucha wrócił.

Nie miałem jednak czasu wielce się rozglądać, gdyż ojciec Piotrusia za ręce chwycił i siarczystego młynka z nim wywinął. Potem głośno się rozśmiał, Piotrusia puścił i, na łóżku matczynem siadłszy, śmiał się, aż mu łzy po twarzy zczerniałej pocięły. Otarł je prędko rękawem starego spencerka.

— I cóż, Anulku? Jak ci tam?... — zapytał.

Ale matka, na poduszki opadłszy, leżała, jak nieżywa.

— Filip! — szepnęła wreszcie z wyrzutem. — Co ty?... Kozuch sprzedał?...

— Kozuch! Kozuch! — powtórzył ojciec. — No i cóż kozuch?... Wielka parada kozuch! Dość go się nadzwigałem przez tyle czasu. A to ciężki, psia noga, jak młynarskie sumienie... Aż lżej człowiekowi, że go z siebie zrzucił!

A gdy matka jęknęła z cicha, po włosach ją pogładził ręką i dodał:

— A też z ciebie, Anulka, krzywe drewno, że lada czego stękasz... Był kozuch, niema, ta i straszna historia! Cóż to? Da mi kozuch jeść, albo za mnie komorne zapłaci, albo co? Wiosna za pasem, tylko patrzeć jak rzeka puści, a ja się tam będę w kozuchy fundował.. A to, poczekawszy, i w spencerze za gorąco będzie, jak się robota otworzy...

Tego dnia znów był u nas pan doktor, i znów do apteki biegałem.

— Zimno tu jakoś — mówił pan doktor wychodząc — i wilgoć czuć. Trzebaby lepiej palić...

I wstrząsnął się, otulając krótkim futerkiem. Ojciec słuchał ze spuszczoną głową. Cały ten dzień był ojciec bardzo wesół; ale równo musiało mu coś być, bo, jak tylko matka nie patrzyła na niego, odmieniał się na twarzy, zwieszał głowę, a oczy to mu się z siwych aż czarne robiły, taką w nich żalność miał.

Całe pół puda węgla kupiliśmy na odwieczerz w sklepiku i ogień taki był, że aż huczało w piecu. Ojciec ławę przysunął do naszego siennika i siadł sobie na niej, matka też się obróciła, żeby na ogień patrzeć i takeśmy się wszyscy wygrzali, że to ha!

Upłynęło znów ze dwa tygodnie. Ojciec niewiele co zarobku miał, a to i w domu roboty było dość; tu szmaty upierz, tu strawę uwarz, choć się tam i niezawsze warzyło, zawsze nie jedno, to drugie, a z nas to najwięcej posyłka jaka... Matce też nie było ni lepiej, ni gorzej; wyschła tylko strasznie i na twarzy zbieła, jak chusta; ciężkie kaszle też na nią przychodziły coraz częściej, osobliwie na świtanium.

Zagładały czasem sąsiadki do izby, dziwiąjąc się matce, że taka zmizerowana.

— Żeby już albo w tę, albo w tę stronę pan Jezus dał! — mówiła gwoździarka do ojca.

— Tfu! — splunął ojciec. — Co tam pani takie rzeczy będzie gadała? Cóż to, przykrzy mi się, czy co? Czy my to tylko na zdrowe czasy przysięgali sobie, a na te chore to nie? Czy to ona przy kim, nie przy mnie, nie przy moich dzieciach zdrowie straciła?...

I na tem się skończyło.

A mróz trzymał. Choć się i wiatr na zachód obrócił, zimnisko takie było w izbie, że aż para szła. A zelzało trochę pod wieczór, to znów śniegiem miotło tak, że świata

widać nie było. Piotruś to już i do ochronki nie szedł, tylko za piecem, albo w nogach matczynego łóżka siedział, taki delikacik! A my z Felkiem piguły ze śniegu robili i walili w siebie na rozgrzewkę.

Jakoś się jednego dnia nie paliło w piecu. Ojciec matkę przyodziął derką, a mnie do sąsiadki posłał po kawałek cukru do ziółek. Ale sąsiadka nie miała. Otworzył tedy ojciec do kufierka, czy jeszcze gdzie nie wytrząśnie jakiej okruszyny, bo matka kaszlała tak, że aż w piersiach coś rwało. Zaraz my we trzech obstąpili ojca, bo w kufierku bywały różne rzeczy, któreśmy rzadko kiedy widywali. Były w pudełku brzytwy ojca, były w drugim korale matczyne, była czarna jedwabna chustka, co ją ojciec w wielkie święta na szyję wiązał, była szuba matczyzna z czerwoną podszewką, była żółta serweta w kwiaty na stół, była kapa na łóżko z zielonego persu.

Ale tym razem zupełnie się zawiedli; kuferek był pusty. W kątku tylko, w czerwoną chusteczkę związana, leżała kawalerska harmonijka ojca. Ojciec potrącił ją raz i drugi, szukając odrobiny cukru, jakby się bał ją podnieść i usunąć z kąta. Brzękła i umilkła. Ale Felek już wsadził rękę do kufierka.

— A harmonijka, proszę ojca! — krzyknął, podnosząc czerwone zawiniątko.  
— Nie możnaby harmonijki?...

— Felek!... — zawołała matka słabym głosem z łóżka.

Ojciec się zaczerwienił. Felkowi chustczynę z harmonijką odebrał i, włożywszy do kufierka, zamknął go na klucz.

Tego dnia bardzośmy długo śniadania nie jedli; a obiadu — to też nie było. Myślałem, że mnie ojciec choć po chleb pošle, ale nie. Piotrusiowi tylko dostała się wczorajsza kromka. Poszliśmy z Felkiem do sieni w klasy grać, bo nam się dłużyło jakoś. Druga już może była, albo i trzecia, kiedy matka zawołała mnie do łóżka i rzekła zmęczonym, przerywanym głosem!

— Wpadnijno Wicuś do maglarki na Szczygłą — wiesz?...

— Ojej... Co nie mam wiedzieć... Pod trzeci...

— Pod trzeci — powtórzyła matka. — To porządna kobieta, może kupi żelazko...

— Żelazko?... — powtórzyłem, niepewny, czy dobrze słyszę.

— Tylko żeby dopiero zmierzchem przyszła, żeby w podwórzu stróżka nie widziała... No idź...

Chwyciłem czapkę, kiedy mnie zawołała raz drugi:

— Wicuś!...

Ale kiedym podszedł, popatrzyła na mnie i rzekła:

— Nic już, nic! Idź...

Byłem we drzwiach, kiedy mnie zawołała raz jeszcze.

Była w pół podniesiona na łóżku, zapadłe jej oczy otwarte były szeroko.

— I mózdzierz... — szepnęła tak cicho, że dosłyszał ledwie.

Skamieniałem. Doznałem wrażenia, jakby mnie samego sprzedawać miano.

— Mózdzierz? — powtórzyłem szeptem, nachylając się ku twarzy matki.

Dyszała ciężko, nierówno, w piersiach słychać było świst ostry. Nie odpowiedziała nic, tylko mnie przytrzymała za rękę. Dłoń jej była zimna, wilgotna. Dwa czy trzy razy otwarła usta bez głosu, poźólkłe jej czoło potem się okryło.

Chwyliła powietrza głębokim, do westchnienia podobnym oddechem.

— I rondel... — szepnęła z wysiłkiem.

— Rondel?... — rzekłem równie cichym głosem.

Skinęła tylko ręką, głowa jej opadła na poduszkę, oczy się przymknęły.

Wyleciałem, jak oparzony, trzymając czapkę w garści. W sieni spotkałem Felka.

— Słysz, ty — krzyknąłem mu w ucho. — I rondel, i mózdzierz, i żelazko, wszystko ci het sprzedajem!

— Siarczyste! — rozśmiał się Felek i wyskoczył w górę na tę uciechę, trzasnąwszy się dłońmi po udach. Ten skok, to była najlepsza sztuka w całym repertuarze jego. Nigdy mu w nim dorównać nie mogłem. Rzucił się w powietrze tak łatwo, jak ryba w wodę. Zaraz też we dwóch poleciliśmy na Szczygłą, bo Felek ambitny był i nigdy mi o włos przed sobą nie dał.

Ale maglarka nie chciała wielce ze mną gadać. Powiedziała, że jej rondel niepotrzebny, a mózdzierz i żelazko ma swoje. Wyszliśmy oburzeni.

— Dzisz babę! — krzyknął Felek. — Rondel jej niepotrzebny! Taki rondel, jak nasz, i jej niepotrzebny.

Z błyszczącymi oczyma czekała matka; a gdym jej o skutku naszej wyprawy powiedział, westchnęła, jakby doznawszy wielkiej jakiej ulgi.

Przed wieczorem jednak znów mnie zawołała i kazała biec po »handla«. Wylecieliśmy obaj z Felkiem, uszczęśliwieni, że się jeszcze ta sprawa nie skończy. »Handek« przyszedł, obejrzał żelazko, obejrzał mózdzierz, obejrzał rondel i, wykrzywiwszy wzdorliwie usta, powiedział, że to wszystko na szmelc tylko chyba. Żelazko przepalone, mózdzierz mały, rondel cienki i nitowany z boku... Za trzy te sztuki razem dawał dziesięć złotych.

Porwała się matka i na łóżku siadła.

— Co?... Dziesięć złotych?... Sam mózdzierz kosztował pięć złotych i trzynaście groszy! A żelazko!... A rondel!

— Nu, na szmelc... — zaczął »handek«.

Ale nie dopuściła go do słowa i trzęsącą się ręką drzwi mu pokazywała.

— Idźcie!... Idźcie!... Niech was moje oczy nie widzą!... Nie wy jedni na świecie. I posłała nas natychmiast po innego »handla«, po Rudego, co od nas stół ostatni kupił.

Lubiliśmy bardzo tego Żydka, bo koncepty różne, kupując ów stół, prawil, a za odniesienie go na drugą ulicę, mnie i Felkowi po orzechu dał. Prawda, że Felków był dziurawy, ale cały dzień na nim gwizdał, że to niby kolej odchodzi. Poleciliśmy tedy po Rudego. Szwargotał na rogu przed sklepikiem z tym pierwszym, który od nas wyszedł. Zaraz jednak worek z butelkami na plecach poprawił i za nami poszedł.

Ale obejrawszy móździerz, rondel i żelazko, dawał za nie tylko dziewięć złotych i szesnaście groszy; mówił też, że móździerz to się i na szmelc nie zda. Matkę aż febra trzęsła i, choć się ruszyć prawie nie mogła na łóżku, wyrwała przeciw rondel i puściła go na ziemię. Jęknął, jak dzwon rozbity...

Dziwnego wrażenia doznałem, słuchając tego jęku. Zdawało mi się, że jęknęły węgły naszej izby.

Matka zasłoniła oczy i zaczęła płakać.

Nim wieczór przyszedł, było u nas jeszcze z pięciu »handłów«; ale co jeden to mniej dawał; choć o dwa, o trzy grosze, ale mniej. Szwargotali, klócili się między sobą, wyrywali sobie nasz móździerz i nasze żelazko, hałas był większy, niż na Pocijowie.

Felek tylko mnie poszczypywał z tej uciechy.

— To ci heca! — wołał, dusząc się od tłumionego śmiechu, i dla ulżenia sobie wywinał pysznego kozła.

Powynosily się nareszcie Żydy, zaduchu w izbie narobiwszy; rondel, żelazko i móździerz stały rzędem przy matce na ławie. Patrzyła na mnie wzrokiem smutnym, zmęczonym, osłupiałym prawie. Ale gdy mróz coraz większy na noc brał, a Piotruś, zwyczajnie bąk niewytrzymały, piszczeć zaczął, że mu zimno, że głodny, kazała mi matka biec do stróżki i zapytać, czy żelazka nie kupi.

Ale stróżka nie zapomniała widać owej matczynej odmowy. Odęła się też zaraz jak karmelicka bania.

— Jak będę miała kupować, to se nowe kupię! Co mi tam po starym gracie!

Kiedym to powtórzył matce, ognie uderzyły na nią.

— Nie, to nie! — zawołała głosem, drżącym z gniewu. — Widzicie ją! Grat!... stary grat!... Jaka pani! Jak pożyczyć, to jej było dobre, a jak kupić, to stary grat! poczekaj, ty flądrow... jędo...

Zakaszła się i za piersi chwyciła, ale jej nie było co popić dać, bo ziółka dawno wyszły.

— A to ci tyjatr!... — szepnął Felek, szczypanwszy mię do bolącego.

— Wicuś! — odezwała się matka przerywanym głosem — biegajno do tego najpierwszego »handla«, co dziesięć złotych dawał. Do tego czarnego, wiesz? Niech przychodzi. — I, przymknąwszy zmęczone oczy, szeptała:

— Za psie pieniądze przedam, zmarnuję, a tobie, jędzo, fładro jedna, wara od starych gratów na ludzki dobytek wydziwiać... Nie użyjesz! Nie użyjesz!

I umilkła, wyczerpana zupełnie.

Felek aż się piętami po łydkach bił, tak ze mną po Żyda leciał. Myśleliśmy, że go Bóg wie gdzie szukać przyjdzie, a on prawie wprost naszej bramy stał, ręce za pas u chałata założył i bokami spluwał. Zupełnie jakby czekał na nas. Kiedy Felek, podleciawszy, szturchnął go w łokieć, błysnęły mu oczy zmrużone, jak kotu, i pociągnął nosem. Poszedł za nami prędko, skwapliwie. Ale i on teraz więcej dać nie chciał, jak »równe dziewięć złotych«. To »równe« mówił takim głosem, jakby do owych dziewięciu złotych przynajmniej z pół rubla dokładał.

Matka znów się zapaliła na twarzy.

— Człowieku! — krzyknęła. — A toćże tego nie ubyło! A toćżeście pierw dziesięć złotych dawali. A toćże to samo!

— Nu, to co, że to samo? — odrzekł flegmatycznie »handek«. — Ja się namyślał..

— Dajcież już tak dziesięć złotych, jakeście dawali... Miejcież sumienie!...

— Nu, ja sumienie mam! Żeby ja sumienie nie miał, toby ja ośm złotych dał, a że ja sumienie mam, to ja dam równe dziewięć.

— A żeby was Bóg ciężko skarał za moją krzywdę! — jęknęła matka.

— Co to skarał? — szarpnął się »handek«. — Za co skarał?... Czy ja darmo chcę wziąć? Czy ja plewy daję? Nu, ja daję gotowe pieniądze.

Matka już nic nie odpowiedziała, twarz jej była tak białą, jak krążek opłatka. Kiedy Żyd liczył pieniądze, Felkowi oczy latały za każdą dziesiątką. Co tylko która była choć trochę starta, natychmiast ją z szeregu wyrzucał, krzycząc, że fałszywa. Żyd sykał z początku, potem rozczzerwienił się tak, jakby go apopleksya tknąć miała, zamierzył się raz nawet na Felka, doprowadzony do ostatniej pasyi, aż nagle uśmiechnął się, dobył z kamizelki grosz dobrze szerniały i, podając go Felkowi, rzekł:

— Nu, ty mądry chłopiec! Ty urzędnikiem będziesz! Na tobie na piernik!

Ale Felek grosza nie brał.

— Tu, patrzcie, gdzieście nie dołożyli trojaka — rzekł, stukając palcem w kupkę groszaków, mającą przedstawiać złotówkę. Tu dołóżcie, a mnie nie zawracajcie piernikami głowy.

Żyd cmokał coraz silniej z podziwu.

— *A kluger Bub* — szepnął sam do siebie.

Nareszcie doliczyli się jakoś, Żyd z łoskotem żelazko, móżdziej i rondel do brudnego worka wrzucił, a mnie matka posłała po węgle i po chleb.

Kiedy ojciec przyszedł, palił się już w piecu ogień, a my popijaliśmy kolejno wodziankę z żelaznego garneczka.

Ojciec w progu przystanął, popatrzył na ogień, na nas, potem po izbie spojrział, a kiedy wzrok jego zatrzymał się na opróżnionej półce, spuścił oczy i na palcach do łóżka matczynego poszedł.

Niedługo jakoś potem zelzało. Ogromny huk pękających lodów na Wiśle słyhać było nocami. Węgiel jednak ciągleśmy jeszcze kupowali, bo wilgoć w izbie była taka, że się po ścianach sączyło.

Stancya nasza wypróżniła się do czysta.

— Na glanc... — jak mówił Felek.

Poszła gorsza matczyzna suknia, poszedł zegar, poszła balia, a kiedy i płaszcz ojca granatowy poszedł, straciłem zupełnie wiarę w te rzeczy, które są »raz na całe życie«, zwłaszcza po niedawnym doświadczeniu z żelazkiem.

Chodziliśmy teraz po pustej izbie, jakby po kościele, a Felek hukał, złożywszy przy ustach dłonie, żeby mu echo odpowiadało. Pan doktor wszakże przychodził do matki, a i do apteki latałem. Garnek żelazny też jeszcze był, aleśmy rzadko kiedy obiad gotowali; uwarzyło się ziemniaków na rano, to i na wieczór były, a w południe tośmy latali za kotami gospodarza, bo okrutnie po dachach wrzeszczały.

Jednego razu ojciec u kufierka na ziemi przysiadł, otworzył go i długo medytował nad nim.

A była tego dnia duża odwilż, z dachów ciekło, wróble się darły, a słońce pierwszy raz tej zimy do naszej suteryny zajrzało. Ale matce było znowu gorzej. Całą noc kaszel ją męczył, a pić to wołała więcej, niż pięć razy. Lekarstwa nie było. Felek wspiął się na palce i ojcu przez ramię patrzył. Myślał, że Bóg wie co zobaczy, a tymczasem nic. Ojciec tylko głową kiwał, wąsy skubał i patrzył w milczeniu na czerwone, leżące na dnie zawiniątko. Sięgnął wreszcie po nie, harmonijkę wyjął i, siadłszy na matczynem łóżku, grać zaczął.

Matka ożywiła się nieco, słuchając, kazała sobie Piotrusia podać do łóżka, a my stanęliśmy w pobliżu, słuchając.

Zrazu grał ojciec wesoło, a grając, tak mówił do matki:

— Pamiętasz, Anulku, Bielany? Pamiętasz, jak my się to poznali? Jakem ci to przygrywał idący?

— Pamiętam, serce — rzekła matka z cicha.



— Albo to, pamiętasz?... To ci było w Trójce, na odpuszcie, na Solcu...

— Pamiętam — szepnęła matka.

— Tęgi sztajer! — mruknął do mnie Felek, szturchnąwszy mnie pod żebro.

— Miałś wtedy tę różową w kratkę suknię, i okrutnie mi się potem bez ciebie cniło, coś ze trzy dni — mówił ojciec miękkiem głosem. — A to, Anulka?...

— Tego nie wiem...

— Jakto nie wiesz?... To przecie było na Woli, co my tam ze szwagrem poszli, com to kuflem cisnął w tego Niemca, że się do ciebie przysiadł...

— A prawda! — szepnęła matka.

Ojciec grał dalej. Harmonijkę na kolanie trzymał, rozciągał ją i zesuwał, a po kłapeczkach drobniutko palcami przebierał.

Jak żyję, nie słyszałem piękniejszej muzyki.

— Anulka! A to?... Jakże?...

— Pamiętam, Filipku! — mówiła matka — to było tej niedzieli, kiedyś na zapowiedzie dał. W Czerniakowie my byli z nieboszczką matką...

— Po miesiącuśmy już wracali — dodał ojciec. — Grałiśmy w zielone...

— A jak wtedy bez pachniał... A co słowików śpiewało...

— A jaka ty wtedy śliczna była... Jak ta róża w kwiecie...

Felek szturchnął mnie w żebro.

— A jak ty wtedy grał, serce... Jak ty grał...

Uśmiechnęła się, westchnęła, zdawała się zasypiać.

Ojciec i teraz grał ślicznie. Z początku wesoło, raźnie, jakgdyby do tańca, same nogi nam podrygiwały. Potem, jakby się do tej wesołości co przymieszało, coraz smutniej, jakoby do płaczu, tak że i Felek pięścią oczy raz i drugi wytarł; aż rozciągnął ojciec harmonijkę razem ze stron obu i dobył z niej głos tak żalony, jak na organach, kiedy umarłemu grają.

Matka spała. Często na nią teraz przychodził sen taki, jakby nagle kto makiem oczy jej posypał. A budziła się potem osłabła, blada, z zimnym potem na wychudłej twarzy.

Posiedział tedy ojciec ze zwieszoną głową, posiedział, poczem, westchnąwszy, wstał, harmonijkę w ową czarną chustczyne owinał, pod pachę ją wsadził, a nasunąwszy czapkę, na palcach wyszedł.

Kiedyśmy się we trzech na sienniku pod matczyną chustką znaleźli, trącił mnie Felek w bok i rzekł półgłosem:

— Wicek!

— A co?

— Wiesz?... Stary to ci płakał przy tem graniu!

— E-e-e...

— Dalibóg! — przysiągł Felek, palnawszy się pięścią w piersi, aż mu w nich coś jękło. — Przecież nie ślepy, widziałem... Tylko mu te łyzy po wąsach kipiały...

— A cóż chcesz! — dodał po chwili — jak sobie człowiek tak wszystko jedno po drugim rozpomni...

Westchnął ciężko, poleżał chwilę cicho i na bok się do pieca odwrócił; zaraz potem usłyszałem jego chrapanie. Ojciec tego wieczora późno do domu wrócił, ale przyniósł matce lekarstwo, ogień rozpalił i zrobił herbaty. Długo tej nocy usnąć nie mogłem, a w głowie ciągle mi coś grało to smutnie, to wesoło. Śniły mi się też różności do białego rana. A to, że ogród jest w izbie, i że bez na piecu kwitnie, a to że w sieni słowiki śpiewają, a to że na ścianie, tam gdzie dawniej zegar wisiał, teraz stoi srebrny księżyc w pełni...

Kiedym się obudził, Felek już stał na sienniku i zapinał pasek na opadających go porciętach. Przez otwartą, srodze połataną koszulę sterczały mu wychudzone zębra, z kołnierza wychylała się szyja cienka, jak u wróbla, a niezmiernie chude nogi czyniły go znacznie wyższym, niż był w istocie.

— Felek! — zawołałem. — Cóżes ty, tak jak tyka, przez ten miesiąc urósł?

— Głupi! — rozśmiał się Felek. — Ja tylko tak się wyciągam, żeby brzuch mniejszy był.

Wyciągnął się przede mną, jak struna.

— A co? — zapytał.

— A to wyglądasz, jak śledź marynowany.

— To dobrze! — zawołał Felek. — Walę na pajaca.

A kiedym się śmiał:

— A co? — rzekł — zły chleb, myślisz?

I, trzasnąwszy się rękami po udach, w górę wyskoczył, kozła w powietrzu przewrócił, poczem na cztery łapy, jak kot, cicho padł.

— Wiesz? — rzekł — to przez tego pędraka takem się wyciągnął — i wskazał głową na Piotrusia, który zwykle najwcześniej się budził, i do garnka patrzeć szedł, czy tam czego od wczoraj nie znajdzie.

— Jak idziem do ochrony — mówił dalej Felek — to ci całą drogę skomle, że głodny. Muszę ci mu codziennie pół mego chleba fasować, żeby cicho był.

— E-e-e? — zapytałem niedowierzająco, czując, że jabym się może na bohaterstwo takie nie zdobył.

— Jak Pana Boga kocham! — przysiągł się natychmiast Felek, grzmotnawszy się kułakiem w suche, jak szczapa, piersi.

I, patrząc na Piotrusia, który na swoich krótkich, pałkowatych nogach, z

dużym rozdętym ziemniakami brzuchem przez izbę się toczył, wybuchnęliśmy obydwoj szalonym, niepowstrzymanym śmiechem.

— Czego wy się tam tak śmiejecie, chłopcy? — zapytała słabym głosem matka.

— A to z Piotrusia — odrzekł Felek — że taki gruby...

— Gdzie on tam gruby, biedaczysko! Z czegożby on był gruby! — mówiła matka. — Piotruś! — dodała. — A pójdźże do mamy, sieroto.

I uśmiechnęła się do niego, głaszcząc go po głowie, podczas kiedy my obaj dusiliśmy się od śmiechu z tej »hecy« — jak mówił Felek.

Wesołość nasza jednak wkrótce zasepioną została.

— Wiesz co, Anulka? — rzekł tego dnia ojciec, siadając na matczynym łóżku. — Trza będzie chyba szkapę między ludzi puścić.

— Szkapę?... — zawołała matka, i aż się na łóżku podniosła. — Bój się Boga, Filip! A toć nas ona wszystkich żywi!...

Ojciec się ciężko na rękę wsparł i wąsy w milczeniu skubał.

— Żywi, albo i nie żywi! — odezwał się po chwili. — Z kacierzem<sup>[A]</sup> na rzece się nie pokaż, woda rwie tak, że to ha. Koło żwiru nijakiej roboty niema, piasku też lichy co odchodzi, na plecachby to człowiek rozniósł, a tu na każdy dzień sieczki kup, a i otrąb choć z garstkę, boć to owsa nie uwidzi w żłobie; tera pomieszczenie, tera ściółka, a wszystko drogo.

Matka jęknęła tylko.

Struchleliśmy, słuchając. Piotruś oczy na ojca wytrzeszczył i otworzył usta; ja stałem jakby skamieniały.

Dopiero Felek taką mi sójkę w bok wsadził, że mnie aż zamroczyło.

— Słyszysz, Wicek! — krzyknął mi w samo ucho.

— A toćżem nie głuchy — huknąłem mu w ucho głośniejsze. I zaraz my wylecieli do sieni, bo nas taka żałość zdjęła, że tylko się za łby drzeć.

Szkapę kochaliśmy niezmiernie. Jak tylko zapamiętam na świecie, zawsze był ojciec, matka i szkapa. Felka potem dopiero bociany przyniosły, Piotrusia także; ale szkapa należała do rzędu tych istot, które są zawsze. Są, bo są. Wyobrazić sobie poprostu nie mogłem ani jej początku, ani też jej końca. Szkapa należała do nas, a my do niej, ani my od niej, ani ona od nas nie mogła się odłączyć. Było to tak naturalnem, że m zgoła nie pojmował innego porządku rzeczy. Kogoby tam brakło w naszej gromadce, toby brakło, ale nigdy szkapy. Toć to była cała nasza uciecha.

Kiedy ojciec z rzeki do domu wracał, wybiegaliśmy — gdzie! aż wpół drogi, byle prędzej szkapę zobaczyć. Co który miał, to jej niósł i do pyska wtykał kawałek chleba, ziemniak, znalezionej w podwórzu skórkę z cytryny...

I szkapa nas kochała bardzo. Zdaleka już rżała ku nam i przyspieszała kroku,

strzygąc radośnie uszami; a kiedyśmy ją po szyi, po bokach klepali, rozumiała wybornie tę pieśczęotę i, zwiesiwszy łeb swój ciężki, skubała nas po włosach, po kurtkach. Piotruś zwłaszcza był jej ulubieńcem; poprostu rżała na ojca, żeby go wziął z sobą.

Kiedy ją ojciec wyprzągł, zaczynała się dopiero heca. Natychmiast Felek wskakiwał na jej grzbiet kościsty, od starego chomąta obdarty i podczas kiedy szkapa zanurzała swój łeb ogromny w głębinach uwiązanej jej u karku worka z chudą sieczką, on, przykleknąwszy na jedno kolano lub stanąwszy na jednej nodze, wywijał czapką i krzyczał:

— A to jest sławny jeździec z suteryny, co nigdy nie traci miny! Nazywa się Feliks Mostowiak, herbu gnat! Je chudy, ale chwata! Kto da więcej?...

Na to »kto da więcej« — wybuchaliśmy tak piekielną wrzawą, że aż ludzie wybiegali z oficyn.

Po Felku gramolił się na szkapę Piotruś; aleśmy go ledwie podsadzić mogli, tak go przeważała rozdęta brzuszyna. Szkapę z Piotrusiem oprowadzaliśmy w tryumfie po podwórzu, nie dawszy jej spokojnie sieczki owej spożyć, a Felek znów wywijał czapką i wrzeszczał:

— A to jest Piotruś herbu szcur! Ma dwie łaty i osiem dziur! Dwóch zębów niema na przedzie i na szkapie jedzie!... Kto da więcej?...

Skąd on tu to »kto da więcej« przyczepił, nigdym odgadnąć nie mógł; Felek sam utrzymywał, że to już tak jedno do drugiego pasuje. I znów wybuchaliśmy szatańską wrzawą, jakby nas nie trzech, ale ze trzydziestu było.

— Przypatrzta się, moi ludzie — mówiła, stojąc we drzwiach, tłusta sklepikarka — co też te bestye chłopaki Mostowiaków nie wyprawiają z tą kobyłą! A toć to czyste mały z »meranżiery«.

I chwytala się za boki, trzęsąc od śmiechu, aż jej oczy w tłustej twarzy zupełnie ginęły.

— Oj batem, batem! — skrzeczała ojcu, albo: »powiem mamie«, albo: »powiem szkapie«. Tej pogroźki nie lekceważyliśmy bynajmniej; i często gęsto dostał Piotruś jaki kasek, szczególnie od Felka, byle tylko »nie powiadał szkapie«.

Nie mogliśmy bowiem znieść, kiedy tak patrzyła na nas smutnie jednym okiem swoim, podczas kiedy na drugim, ślepem i zbiełałem, powieka o siwej rzęsie podnosiła się i opadała zwolna, jakgdyby z wyrzutem..

— Słysz, Wicek! — mawiał Felek. — Co ta szkapa takiego w tem ślepiu ma, co tak świdruje?... A tobym ci wolał, żeby mnie ojciec paskiem przemierzył, niż kiedy ona tak patrzy. Do samego ci »honoru« człowiekowi sięga...

Szkapę czyściliśmy codzień. Ale nigdy nie obeszło się przy tem bez bijatyki o

szczotkę i zgrzebło. Cośmy jej wtedy sierści nadarli! cośmy naplątali grzywy! Stała jednak szkapa cierpliwie, zmrużywszy zdrowe oko, i tylko od czasu do czasu machała wypełzłym ogonem, jakby się oganiała od bąków.

Zaraz po Wielkiej-Nocy zaczynało się pławienie szkapy. Jeszcze woda zimna była, jak lód, a my już zawijamy porcięta i dalej do rzeki. Jaki to był tryumfalny pochód! Chłopaki z ulicy chcieli z nami lecieć, aleśmy ich odpędzali biczem.

Dopieroż szkapę wodą chlustać, dopieroż jej pęciny i boki wycierać, dopieroż jej wygwizdywać, jakeśmy to u ojca słyszeli. Największa bieda była, kiedy szkapa dla uwolnienia się od nas i naszej opieki, parę kroków w wodę dalej poszła.

— Utopi się! utopi! — wrzeszczał Piotruś i aż siniał i przysiadł na ziemię, obu się rękami brzucha własnego trzymając. Brnęliśmy tedy po nią i za ogon ku brzegowi ciągnęli, poczem zziajani, zmęczeni wracaliśmy do domu, szkapa naprzód, my za nią, mokrzy, ociekający wodą, jak topielcy.

I tę to naszą kochaną szkapę ojciecby sprzedać miał?

Było to w naszym rozumieniu coś, jakby skończenie świata.

Zaraz też, wyleciawszy do sieni, palnąłem Felka w ucho, on mnie na odlew w kark, ja znów, nie bawiący, grzmotnąłem go w plecy, on znów mnie pięścią w bok, aż mi świeczki w oczach stanęły. Zaczem my się obaj za czupryny chwycili i splątali, jak kłębek, potoczyli razem do progu. A taka w nas żalność była, taka z tej żalności srogość, że żaden pary nie puścił, nie pisał nawet.

Zaraz też nam się po tej »dzierce« lżej na sercu stało.

Jużeśmy do izby wrócili, bo zimnisko ze dworu gnało, a ojciec precz jeszcze perswadował matce:

— Tera ci się za nią siaki taki grosina weźmie; a jak przychudnie, boć już i sieczki ujmuję, to kto co za nią da? Cóż, Anulka! Jak se myślisz, serce?

Matka westchnęła ciężko.

— I cóż ja se mam myśleć, mój Filipie?... Myślę, że nas Bóg ciężko dotknął tą chorobą. Myślę, że ci się kamieniem u szyi stała i do dna cię ciągnę... O tych sierotach myślę...

Zakryła oczy ręką i zaszczołała głośno. Ojciec całował ją po głowie.

— Anulka!... Serce!... Anulka!... — powtarzał, aż nagle sam ryknął płaczem.

— Siarczyste!... — mruknął za mną Felek, wycierając oczy kułakiem.

Kilka dni minęło, a o sprzedaniu szkapy nie było jakoś mowy.

Matka miała się coraz gorzej. Jej ciężki, chrypiący kaszel z twardego snu dziecięcego po nocach nas budził. Raz wraz też zasypiała we dnie, a mimo że się nagle ciepło na świecie zrobiło, febra ją chwilami trzęsła, aż zęby szczękały. Ojciec chodził po izbie zgarbiony, żółty, jakby mu z dziesięć lat życia przybyło, a rękę na

nas twardą miał i o byle co do czubów nam sięgał, ale żeśmy się tam wiele nie nastęrczali, dużą część dnia spędzając w stajence.

Od kiedy zagroziła nam możliwość utracenia szkapy, stała się nam ona podwójnie drogą. Rozrzewniało nas teraz każde jej parsknięcie, każde ruszenie ogonem.

— O... je! — wołał Piotruś, wpatrzony w nią z zachwytem, gdy zanurzała w żłobie łeb swój wielki, a podniósłszy go, żuła gołą sieczkę, mrużąc zdrowe oko.

— O... pje! — wołał, gdy łeb wsadzała do starego wiaderka, aby żłopnąć raz i drugi wody, którąśmy jej przynosili własnoręcznie.

Ja i Felek siadaliśmy z obu jej stron na żłobie i, machając nogami, przyglądaliśmy się całymi godzinami każdemu jej ruchowi.

Ziemniaki nawet, któreśmy teraz już codzień bez okrasy mieli, tuśmy przynosili, aby razem ze szkapą obiad jeść, chociaż dzielić się z nią nie było czem, bo nam samym jakoś się coraz szcuplej dostawało.

Weselej też było w stajence, niż w izbie, bo słońce w same zęby świeciło tu nam przez drzwi, na ścieżaj otwarte, a do suteryny od naszego kąta, jak rok długi, nie zajrzało nigdy.

— Ależ tu zimno u was! — mówił pan doktor, zachodząc do matki. — I wilgoć straszna! Powiniście się postarać o suchą i ciepłą izbę dla żony — dodawał, gdy go ojciec wyprowadzał do sieni — żona wasza nie może w takiej izbie leżeć. Powietrze fatalne, zgniłe, żadnej wentylacji, żadnego światła. Powiniście przecież dbać o kobietę, kiedy chora. Z nią coraz gorzej i musi być gorzej w takich warunkach.

Ojciec gryzł wąsy i milczał ze spuszczoną głową.

— Mlekaby też jej trzeba świeżego, mięsa, wina kieliszek czasem.. Tu lekarstwa nic nie poradzą, tu dyetę trzeba posilną prowadzić...

Poszedł już, już i na drugą ulicę skręcił, bom patrzył za nim, a ojciec precz jeszcze w sieni stał, w ziemię patrzył i wąsy gryzł.

Aż nagle się poruszywszy, koszulę na piersiach szarpnął, woreczek ze szkaplerzem rozerwał, i dobywszy z niego srebrny pieniądz z Matką Boską, mnie po węgle i po mleko posłał, przykazując, żebym nie powiadał matce, jak i skąd.

Nazajutrz w południe zabieraliśmy się właśnie do przedstawienia i już się Felek na szkapę gramolił, gdy nagle ojciec do stajenki wszedł, a za nim pan Łukasz Smolik, chrzestny Piotrusia naszego, dorożkarz z Pragi. Zaraz mnie coś tknęło, więc szturchnąłem Felka, i obaj stanęliśmy, jak trusie.

Pan Łukasz, próg przestąpiwszy, bat swój w kącie postawił, ogromny kościsty nos w połę kapoty granatowej utarł i, wyciągnąwszy chudą długą szyję, tabakę zwolna żążywał. Człowiek to był już stary, wysoki i dobrze zgarbiony; oczki miał małe, czarne, świdrowate, brwi krzaczaste i chudy, zarastający od spodu

podbródek. Pod jego kościstym nosem sterczały żółte, saperskie wąsy, którymi, biorąc tabakę, jak królik, poruszał. Z pod wielkiej granatowej czapy wyglądały sine, białawym puszkciem porośnięte uszy, z których prawe ozdobione było srebrnym kolczykiem. Do nas zaglądał pan Łukasz rzadko, choć go kumoterstwo z nami łączyło; mówiła o nim matka, że kutwa, że na groszach siedzi; czasem znów przepowiadała, że wszystko Piotrusiowi zapisze, bo wdowiec bezdzietny był.

Kiedyśmy się tak, oniemiawszy nagle, przypatrywali panu Łukaszowi, ojciec — jakby nas nie widział — do żłobu prosto poszedł, szkapę odwiązał i po zadzie ją dłonią uderzył.

— A no, stara! — zawołał obracając ją łbem do światła. Szkapą zmrużyła zdrowe swoje oko, a ślepem, osłupiałem, szeroko otwartem, zdawała się patrzeć gdzieś daleko, daleko.

Pan Łukasz, szczyptę tabaki u nosa trzymając, zaczął się słodko uśmiechać, a przekrzywiwszy głowę, patrzył na szkapę to z lewej, to z prawej strony.

— He!... He!... He!... A co to kumeczek sprzedawać chcesz?... Skórę czy kości?

Spojrzał ojciec posepnie z pod oka, i zaraz mu się wąsy podniosły, ale przełknął tylko ślinę i rzekł:

— Skóra i kości zarobią u was, kumotrze, na mięso. Byłe temu pochlebić trochę owsem, to to będzie, jak kluska, okrągłe.

— A bodaj też kumeńka!... — rozśmiał się pan Łukasz! — Pochlebić! Pochlebić! Ale to owies drogi tera, kumeńku. Pięć złotych ćwiarteczka, kumeńku! I siano też drogie...

— A drogie — rzekł obojętnie ojciec, ale widziałem, że mu się oczy zapaliły.

— Nastąp! Noga! Ano!... — zawołał, uderzając szkapę, która przestąpiła wlokące się za nią postronki.

— He!... He!... He!... — rozśmiał się słodziej jeszcze pan Łukasz. — I szpacik, widzę, jest...

— A jest! — odparł ojciec krótko, suchym głosem.

Pociągnąłem Felka za rękaw, jako, że bezpieczniej mi się zdało bliżej drzwi się trzymać, ale mnie tylko łokciem pchnął i szeroko otwartymi oczyma to na ojca, to na przybyłego patrzył.

— U-u-u... szpat psia... — mówił tymczasem pan Łukasz, wyciągając obrastający podbródek z żółtej bawełnianej chustki. — U-u-u... szpat!... i ustami cmokać zaczął. Nie wyjdzie już ona z niego, nie! — dodał, wciągając niuch tabaki i kiwając głową.

Ojcu podnosiły się wąsy coraz wyżej, aż je ręką w dół szarpnął.

— Ja jej tam kumotrowi nie wpieram! — rzekł, patrząc w ziemię. — Dla mnie ona i ze szpatem dobra! Żeby nie choroba kobiety, tobym kobyły pewno nie puszczał między ludźmi! Toć żywicielka nasza.

Pan Łukasz zmilczał, a schyliwszy się, dłonie na kolanach oparł i po nogach szkapie patrzył.

— Łogawa może?... He!... He!... He!... — rozśmiał się pytająco.

— Łogawa! Ta kobyła łogawa! — krzyknął ojciec, a już cały stał w ogniach. — Żeby mnie tak Bóg skarał, jak ona łogawa! Pokaż, kumoter?... Gdzie ona łogawa?...

— No... no!... — uśmiechał się słodko pan Łukasz — ja też tylko się pytam, boć to przy kupnie konia, jak przy żeniacze: czego nie dopatrzysz okiem, to dopłacisz workiem...

— Ja ta nie machlerz! — rzekł porywczy ojciec, a już mu ręce latać zaczęły. — Ja ta nikogo omachlować nie chcę! Co prawda, powiem, a co nieprawda — nie.

— A co ona?... ślepa?... — zapytał nagle prostując się pan Łukasz i, rozsunawszy palcami zmartwiałą powiekę szkapy, z blizka jej w oczy zajrzał.

Poruszył się Felek, a przestąpiwszy z nogi na nogę, szczypnął mnie w słabiznę, tak, żem omal nie wrzasnął.

— A ślepa — odrzekł na podziw spokojnym głosem ojciec, choć znów mu się wąsy zjeżyły.

— Na lewe oko ślepa. Takem ją już kupił i taka je. U mnie ta nie oślepla.

— He! He! He!... — rozśmiał się słodko pan Łukasz i znów do tabaki, sięgnął.

— Tak mi też, kumeńku, mów! Ślepa!... U-u-u... szpetnie ślepa!... U-u-u!...

Otrząsnął palce i tabakierkę schował.

— Jak ona ślepa jest — rzekł, pociągając nosem — to znów inszy interes, insze gadanie...

Po twarzy ojca przeleciał nagły ogień.

— A cóż tam za insze gadanie ma być? — rzekł porywczym nieco głosem. — Ślepa to ślepa! Przecie jej kumoter na książce uczyć nie da, do szkoły nie pośle. A ja kumotrowi powiadam, że druga ślepa szkapa lepsza je, niż ta widząca. A to kobyła dróżna taka, żem jak żyjący, przez tyle lat, dróżniejszej nie widział.

— Ale... ale!... — śmiał się słodko pan Łukasz. — Bogdaj cię też, kumeńku, z taką mową. Toćbyś ty, kumeńku, wmówić wemnie chciał, że ślepa szkapa najlepsza.

— Najlepsza nie najlepsza! A równo com dróżniejszej kobyły nie widział, tom nie widział. A co o wmawianiu to najmniej, bom przecie katolik, nie Żyd.

Ojciec mówił zwolna, hamując się, ale głos mu kipiał.

Nagle, jakby nas dopiero co zobaczył, chwycił Felka za kark i, pchnawszy go



we drzwi, krzyknął:

— A nie pójdziecie wy mi stąd, psie-nogi?...

Dmuchieliśmy, jak wiatr, ze stajenki i, jak wiatr, do izby wpadli.

W parę pacierzy potem wszedł ojciec uspokojony wraz z panem Łukaszem, jako że nie godzi się o bydłę targu przybijać inaczej, tylko w izbie, pod dachem; cygany tylko nie pilnują tego. Zaraz też zaczęli sobie rękę dawać, pan Łukasz przez połę swej dorożkarskiej kapoty, ojciec przez spencer, co mu w strzępach na grzbiecie wisiał.

— Bóg świadkiem — mówił ojciec — żebym obcemu, a jeszcze też Żydowi, za żadne pieniądze kobyły tej nie sprzedał. Tak wiem, przynajmniej w dobre ręce idzie.

— He... He... He!... — śmiał się pan Łukasz — po kumoterstwie! Po kumoterstwie! Krzywdy jej nie zrobię...

— A jakby, nie daj, Boże — tu głową wskazał na matkę, która jak martwa z zamkniętymi oczami leżała — no, toć człowiek nie kamień, toć już tak po przyjaźnielstwie darmo wywożę...

Nie odrzekł ojciec nic, ani w tę, ani w tę stronę, tylko oczy spuścił i wąsów szarpnął, a matka obudziła się z jękiem. Może nie spała nawet.

Kiedy pan Łukasz, zgiąwszy się we dwoje, z izby za ojcem wychodził, rzuciliśmy się w te pędy, żeby do szkapę lecieć.

Ale ojciec odwrócił się nagle:

— Ani mi nosem za próg! — krzyknął ostro. — W izbie siedzieć...

I trzasnął drzwiami.

Byliśmy, jak ogłuszeni. Patrzyłem na Felka, a on patrzył na mnie; oczy robiły mu się coraz większe, coraz przeźrocystsze, usta i broda, jak w febrze, latały, aż, schwyciwszy się obu garściami za włosy. — Siarczyste! — krzyknął i zaniósł się wielkim płaczem.

Zaczęły się teraz dobre czasy. W izbie zrobiło się ciepło, grzyby po ścianach rósć przestały, od sklepikarki pożyczaliśmy drugiego kaganka na kaszę.

Tylko, że bez szkapę okrutnie się nam widziało smutno, a co który na stajenkę spojrział, to mu świeczki w oczach stawały. A i matka jakoś nie miała wskórania.

— Już ja będę umierać, Filipie... — mówiła takim cichuchnym głosem, jak ten wiatr letni. — Już się ty nie kosztuj na mnie.

To znów ni z tego, ni z owego jej się poprawiało; wołała, żeby jej piwa zagrzać, albo i mleka z masłem, a Piotrusia sama myła, czesała; opowiadała nam wtedy, jak to ona ozdrowieje, jak do Częstochowy pójdzie, jak nas ze sobą zabierze, jakie to my tam zobaczymy wieże, jaki kościół, jakie granie na organach będzie. A miała wtedy płomień na twarzy, a oczy świeciły jej, jak próchno. Bywało tak zwykle

wieczorem.

Ale gdy przyszedł ranek, leżała niby bez duszy, codzien bielsza, a jak ta mgielka, przezroczysta. Ani w niej głosu, ani w niej tchu, ani żadnego chcenia. Porywa się ojciec, ucho do ust przykłada, przykazuje nam cicho być — i słucha. Aż westchnie głośno, jakby sam nagle ożył i oczy do tego czarnego krzyża nad łóżkiem podniesie.

Aż raz się nie dosłuchał jakoś.

Matka umarła w nocy tak cicho, że nikt nie słyszał nawet.

Piotruś przy niej tej nocy spał, a i on nie słyszał. Wyszła z niej duszyczka, jak para; ani się tyle nie załomotała, co wróbel, kiedy odlata.

Więc kiedy ojciec, oderwawszy głowę od jej wyschłych piersi, krzyknął, że matka nie żyje, stanęliśmy przed łóżkiem w wielkim zadziwieniu, patrząc na posiniałe usta, to na Piotrusia, który przy jej zimnych, sztywnie wyciągniętych nogach spał ciepły, rumiany, perlistym potem na czółku okryty... Taki ci pędrak, że go śmierć łokciem trąciła, a on nic.

Zaraz się w naszej izbie tumult wielki zrobił, sąsiadek się naschodziło, zaczęły radzić, głowami kiwać, wzdychać, a że nam ojciec tego dnia kaszy nie gotował, a Piotruś jeść płakał, więc go sklepikarka pojęła do siebie, a i nam po bułce dała.

— A to ci baba skruszała! — szepnął Felek, poczem ją zaraz pocałował i bosemi nogami szastnął w zamaszystym ukłonie.

Cały ten dzień było mi tak, jakby mi kto do ucha szeptał: »niema już matki!... umarła już matka...« To zaraz wycierałem pięściami oczy, bo mi się okrutnie płakać chciało.

Mimo to jednak bawiliśmy się tego dnia doskonale, bo taka u nas cizba była, jak na Ordynackiem. Jak zapamiętam, nigdy nie widział tylu ludzi w naszej suterynie; co kto przejdzie koło nas, to po głowach głaszcze, to się lituje, to pociąga nosem.

Wczoraj jeszcze w całej kamienicy nikt na nas inaczej nie wołał, tylko łobuzy, albo urwipolcie; a dziś, jakby im kto gęby miodem posmarował: »Sieroty! Sieroteńki! Niebożątka!...«

A Felek tylko się nastawia, a oczami mruga, a co kto przejdzie, to mnie poszturchuje.

— A to ci komedyje! A to tyjatr!... — szepcze i w ściśniętych pięściach robi dwie skandaliczne figi, a język sam mu się z poza zębów wysuwa, cienki i ostry, jak żądło.

Ojciec tymczasem, jak nieprzytomny, po izbie chodził, co weźmie, to położy, choć się tam w tej pustce nie było wielce czego jać.

A baby nuż się po naszej biedzie rozglądać, nuż jedna drugiej na ucho szeptać,

nuż ramionami ruszać, a głową trząść i stękać... Myślałem, że temu nigdy końca nie będzie, aż się nareszcie rozeszły, bo im obiad z garnków kipiał.

Żeby nie to ludzkie litowanie, tobyśmy i nie czuli tak bardzo, że matka umarła. Z pół roku już się nie podnosiła w tej chorobie, a w ostatnich czasach tak samo cichutko na pościeli leżała, jak i teraz. I teraz, kiedym na nią patrzył, zdawało mi się, że z pod rzęsów za Piotrusiem oczyma wodzi i uśmiecha się leciuchno i co tylko ma powiedzieć: »Gdzie on tam gruby, biedaczysko!« Zupełnie, jak dawniej; tylko, że się tak świece nie paliły przy niej...

Od świec tych padała na nią żółtość przeźroczysta, która mnie straszyla; uczułem też, że zimne miała ręce, gdy nam je ojciec pocałować kazał. Ojcu jednak przy niej ciepło być musiało, bo nabiegawszy się cały dzień, a to do kancelaryi, a to do stolarzy, a to o furmankę — kiedy się ludzie rozeszli, na zydlu u łóżka siadł, ręką głowę podparł i patrzył: to na krzyż czarny, nad łóżkiem matki wiszący, to na głębokie cienie jej zamkniętych oczu. Usnąłem, a on jeszcze siedział. Ale w nocy obudziło mnie ciche szlochanie.

To Felek, który się przez cały dzień szastał i nastawiał i z ludzi wydziwiał, a mnie w boki szturchał, siedział teraz na sienniku, w otwartej na piersiach koszulinie, rękami sterczące kolana objął, patrzył w pustą izbę i płakał.

Trzeciego dnia, spaliśmy jeszcze pod magłą w sionce, gdzie nam ojciec siennik zaciągnąć kazał, kiedy we śnie usłyszałem jakgdyby znajome rżenie.

Zerwałem się; serce mi biło, jak młotem.

Rżenie odezwało się znowu.

— Felek! Szkapa rży! — krzyknąłem, chwyciwszy go za ramię.

Szarpnął się i na drugi bok przewrócił, ale gdy znów słyszeć się dało, porwał się on także, na sienniku siadł i szeroko otworzywszy oczy, słuchał...

Przeciągłe ciche rżenie odezwało się raz jeszcze.

— Szkapa! — wrzasnął Felek i, porwawszy na siebie katankę, ku schodom suteryny się rzucił.

Zacząłem się na gwałt odziewać, a tak mi ręce latały, żem do żadnego guzika trafić nie mógł.

— Wstawaj, Piotruś — wołałem — wstawaj! Szkapa przyszła!

I trząśłem nim, jak wiązką słomy, bo się niełatwo budził.

Istotnie, przed bramą, zaprzężona do prostego, zasłanego kilimkiem woza, stała nasza szkapa. U karku jej wisiał już Felek, objąwszy ją oburącz, o ile dostać mógł; przy wozie stał pan Łukasz Smolik i częstował stróża tabaką.

Podnieśliśmy zaraz wrzask nie do opisania.

— Szkapa! Nasza szkapa! Nasza droga, kochana, stara! — wołaliśmy

naprzemian, głaszcząc ją, klepiąc, tuląc się do niej, gdzie kto mógł. Piotruś gwałtem gramolić się chciał na nią.

— Stęskniła się bez nas szkapa, co?... Przyszła do nas szkapa?... Przyszła?... Poczciwa, dobra, stara szkapa nasza.

I nuż jej zaglądać w zęby, nuż jej obmacywać nogi, nuż jej grzywę palcami czesać. Ani nam w myśli powstało, po co ta szkapa do nas przyszła, na co to wóz ten czekał.

Ale i ona poznała nas także, i ona cieszyła się nami: przednią nogą, którą szpat znacznie pogrubiał, uderzała po bruku wesoło, ochoczo, jakoby krzesząc dla nas iskierki radości; łeb jej to podnosił się, to schylał, nozdrza parskały rażno; to znów na głosy nasze i śmiechy strzygła uszami, wyciągała szyję, a donośne jej rzenie przenikało nas niewymowną rozkoszą.

Rzenie to zlewało się w jedno z trynatarskim dzwonem, który w tej chwili posepnie bić zaczął. Jednocześnie rozległ się z suteryny głuchy odgłos młotka. Aniśmy się spostrzegli, kiedy na wozie ustawiono trumnę.

— Wio! — zawołał pan Łukasz. Szkapa ruszyła, a my przy niej kłusem.

Na rogu ulicy obejrzałem się: gromadka sąsiadek i przechodniów już się rozproszyła, a za wozem, na którym pan Łukasz siedząc powoził, szedł ojciec sam, z czapką w rękę i zwieszoną głową.

Co do nas, bieглиśmy tuż przy szkapie wesoło, ochoczo, ani na chwilę nie przerywając rozmów i pieszczoty. Poranek był majowy, promienie słońca zalewały blaskiem ulicę, most, Wisłę; z każdego gzymsu świerkały wróble. Głośniej wszakże, niż wróble, szczebiotała nasza gromadka.

— Dzisz, Wicek — wołał Felek — jak ci to zgrubiała! Jakie ci to boki wyłożone ma?... Dzisz, jakie ci nowe naszelniki... jaki ci kantar...

I my znów dalej chórem:

— Szkapa! nasza szkapa! Nasza droga, stara szkapa!

Ludzie oglądali się za nami. Dziwnym się wydawał ten pogrzeb, z trójką tak dobrze bawiących się dzieci na czele. Zwłaszcza na moście, gdzie wolniej w tłoku trzeba było jechać, robił nasz orszak pogrzebowy szczególne wrażenie.

Przechodnie stawali i wruszali ramionami. Parę razy nawet krzyknął na nas pan Łukasz, żeby za wozem iść, aleśmy ani na krok szkapy odstąpić nie chcieli.

Słońce przygrzewało coraz silniej, droga stała się piaszczysta, żmudna; szkapa ciągnęła swój ciężar z pewnym wysiłeniem: zdrowe jej oko mrużyło się od blasku, na ślepem, osłupiałem, siadały rozdrażnione gorącym muchy. Natychmiast ułamaliśmy kilka wierzbowych witek i zaczęli ją skwapliwie oganiać. Sami nie czuliśmy zmęczenia. Boso, w lichych szarawarkach i kurtkach łatanych dreptaliśmy

obok szkapy wesoło, ochoczo, a krzyże cementarne wciąż rosły a rosły przed nami...

Że trumny nie miał kto nieść, puszczone nas z wozem za bramę. Ale tu czekać trzeba, gdyż grabarz dołka nie skończył kopać i dopiero teraz pośpiesznie wyrzucać zaczął z niego żółty piasek. Natychmiast zaczęliśmy rwać dla szkapy szczaw zajęczy i soczystą babkę, której pełno było na drożynie. Tymczasem ojciec z panem Łukaszem zdjęli z wozu trumnę i postawili ją nad brzegiem dołka. Nie musiała być ciężką, bo kumoter, choć stary, prosto pod nią stał, a jednak ojca tak zgięła do ziemi, jak ten krzyż padającego Chrystusa, com go na stacyach bernardyńskich widział.

Zaraz też brzęknął cienkim głosem dzwonek, a w chwilę potem przyszedł ksiądz w komeszce i kościelny z krzyżem i kropidłem. Spojrzał na nas ojciec surowo, więc my poklekli z Felkiem, trzymając w pięściach pęki świeżej trawy. Pan Łukasz i ojciec poklekli także, grabarz kończył robotę. Raz, dwa, trzy, odprawił ksiądz swoją łacińską modlitwę, wspomniawszy imię i nazwisko matki, »Ojcze nasz« mówić kazał, sam zaczawszy głośno.

Podniósł ojciec twarz i obie ręce w niebo; z jego oczu padały łzy ciężkie, grube. Felek, tuż przy mnie klęcząc, trzepał pacierz z wzrokiem utkwionym w szkapę.

Zrobiła się cisza taka, że słychać było leciuchne szmery wierzby i cykanie świerszcza.

— O, je!... je!... — rozległ się nagle wśród tej ciszy cienki głos Piotrusia, który pełne rączyny trawy i wiosennego kwiecica szkapie przed pyskiem trzymał, rozsypując bratki polne i białe stokrocie. Szkapę delikatnie z rąk dziecka brała wargami trawę i żuła ją, przechylając łeb, melancholicznie zwróciwszy ślepe, zbielałe oko w słońce. Spojrzał ksiądz, zmarszczył się ojciec, a ponieważ najbliższemu klęczałem mu pod ręką, silnie mnie za ucho pociągnął.

Wnet Felek zaczął się rozgłośnić pięścią w pierś bić, na znak, jako już pacierz i wszystko, co do niego należało, dokumentnie skończył, zaczem, zerknawszy na ojca, chyłkiem do szkapy pomknął, a i na mnie kiwnął. Ksiądz też, trumnę pokropiwszy, z czego i nam się nie coś poświęcenia dostało, z kościelnym odszedł.

Dołek jeszcze nie był wybrany. Grabarz na glinę natrafił, i potrochu ją tylko, jak masła na chleb, na łopatę brał.

Ojciec modlił się ciągle. Wszakże panu Łukaszowi pilno widać było, bo raz wraz tabakę niuchał i na wóz pozierał, a w głowę się drapał, aż się ścisnęli, potrząśli raz i drugi z wielkim przyjacielstwem, poczem kumoter do szkapy poszedł.

Jużeśmy ją wystroili, jakby pannę młodą. Świeże, rozkwitłe gałęzie akacyi sterczały jej za uszami, za uprzężą, za chomątem, gdzie tylko co wetknąć się dało. Pęk żółtych mleczków tkwił nad czołem, pod skrzyżowym rzemieniem. Z grzywy

opadały ostróżki i zajęcze maczki. Resztę zieleni trzymaliśmy w rękach, aby szkape od bąków opędzić.

Zaczął się teraz prawdziwy tryumfalny pochód.

Najpierw kroczył Piotruś, nie patrzący drogi, nadeptując małe, świeże, z żółtego piasku sypane grobki dziecięce, ile razy się na wóz obejrzał. Za Piotrusiem szkapa — wyrzucała z cichym parskaniem łbem, obciążonym kwieciem i zielenią, ja zaś i Felek, jak giermkowie, po lewej i po prawej stronie. Wóz toczył się z wolna, to podnosząc się, to opadając na zapadłych grobach, a za nami, z głuchym, coraz głuchszym łoskotem, padała ziemia na matczyną trumnę.



[A] »Kacierz« — sito z żelaznego drutu na długim drągu, przy dozywaniu żwiru używane.



## TRANSCRIBER NOTES

Misspelled words and printer errors have been corrected.  
Inconsistencies in punctuation have been maintained.  
A cover was created for this eBook.

[The end of *Nasza szkapa* by Maria Konopnicka]